

Kate Morton

DOM
W RIVERTON

WYŚNIONY ŚWIAT W ZDERZENIU
Z OKRUTNĄ RZECZYWISTOŚCIĄ



ALBATROS

Tytuł oryginału:
THE HOUSE AT RIVERTON

Copyright © Kate Morton 2006
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Anna Gralak 2007

Redakcja: Beata Kołodziejska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Ilustracje na okładce: rawpixel.com/Freeepik (*tło*), Freeepik (*klucz i złote kwiaty*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



À e UYhç di Úei ãi Uÿ

Zeszłego listopada przyśnił mi się koszmar.

Mieliśmy rok 1924 i znowu byłam w Riverton. Wszystkie drzwi prowadzące na taras zostały pootwierane, a jedwabne zasłony unosiły się w powiewach letniej bryzy. Wysoko na wzgórzu, pod starym klonem, stała orkiestra. Otulone ciepłem skrzypce leniwie grały jakąś melodię. Powietrze rozbrzmiewało donośnym śmiechem i brzękiem kryształowych kieliszków, a niebo miało ten odcień głębokiego błękitu, którego w czasach wojny nikt nie spodziewał się ujrzeć ponownie. Jeden z lokajów, odziany w elegancki czarno-biały frak, nalewał szampana do kieliszka ustawionego na szczycie szklanej wieży, a wszyscy wokół klaskali, urzeczeni tym wspaniałym marnotrawstwem.

Jak to bywa w snach, zobaczyłam również samą siebie. Przechadzałam się wśród gości. Szłam wolno, znacznie wolniej niż w prawdziwym życiu, a wszyscy wokół zlewali się w jedną niewyraźną gmatwaninę jedwabiu i cekinów.

Szukałam kogoś.

Wtedy otoczenie się zmieniło i znalazłam się w pobliżu letniego domku – tylko że to wcale nie był letni domek w Riverton, to byłoby niemożliwe. Nie był to wspaniały nowy budynek zaprojektowany przez Teddy’ego, lecz stara ruina porośnięta bluszczem, który wspinał się po murach, wpychał się przez okna i oplatał filary.

Ktoś mnie wołał. Jakaś kobieta o znajomym głosie; dobiegał zza budynku, znad brzegu jeziora. Zeszłam z pagórka, muskając dłońmi najwyższe źdźbła trzciny. Nad brzegiem kuciała jakaś postać.

To była Hannah, ubrana w suknię ślubną upstrzoną plamami błota, które przywarło do haftowanych róż. Spojrzała na mnie, a kiedy jej twarz wynurzyła się z cienia, zobaczyłam, że jest przeraźliwie blada. Jej głos zmroził mi krew w żyłach.

– Spóźniłaś się. – Wskazała na moje dłonie. – Spóźniłaś się.

Spojrzałam na dłonie, moje młode dłonie pokryte ciemnym błotem, i ujrzałam spoczywające w nich sztywne i zimne ciało martwego psa.



Oczywiście wiem, co wywołało ten sen. Wywołał go list tej reżyserki. Ostatnio nie dostaję zbyt wielu listów: od czasu do czasu przychodzi jakaś pocztówka od sumiennej przyjaciółki przebywającej na wakacjach, zdawkowe pismo z banku, w którym lokuję oszczędności, zaproszenie na chrzciny jakiegoś maleństwa, którego rodzice – co zauważam z przerażeniem – już dawno przestali być dziećmi.

List od Ursuli przyszedł pod koniec listopada, we wtorek rano, i Sylvia przyniosła go, kiedy wpadła posłać łóżko. Uniosła pogrubione kredką brwi i pomachała kopertą.

– Oto dzisiejsza poczta. Sądząc po znaczku, to coś ze Stanów. Może od twojego wnuka? – Jej lewa brew wygięła się w znak zapytania, a głos zniżył się do ochryplego szeptu. – Okropna sprawa. Po prostu okropna. A to taki miły młody człowiek.

Kiedy Sylvia cmokała z niezadowoleniem, podziękowałam jej za list. Lubię Syłwię. Jest jedną z niewielu osób, które pod zmarszczkami na mojej twarzy potrafią dojrzeć ukrytą w środku dwudziestolatkę. Mimo to nie daję się wciągnąć w rozmowę o Marcusie.

Poprosiłam ją, aby rozsunęła zasłony, a ona na chwilę zacisnęła usta, po czym przeszła do kolejnego ze swoich ulubionych tematów: pogody, szans na śnieg podczas świąt Bożego Narodzenia, spustoszenia, jakie wywoła wśród artretycznych podopiecznych.

We właściwych chwilach udzielałam odpowiedzi, lecz moje myśli krążyły wokół koperty spoczywającej na kolanach. Zastanawiał mnie kanciasty charakter pisma, zagraniczne znaczki i sfatygowane krawędzie, które świadczyły o długiej podróży.

– A może ci go przeczytać? – zaproponowała Sylvia, z zapalem nadając poduszkom pożądany kształt. – Dam twoim oczom trochę odpocząć.

– Nie. Dziękuję. Ale mogłabyś podać mi okulary.

Kiedy wyszła, obiecując, że po skończeniu obchodu wróci i pomoże mi się ubrać, drżącymi dłońmi ostrożnie wyjęłam list z koperty, zastanawiając się, czy wnuk wreszcie postanowił wrócić do domu.

Jednak list wcale nie był od Marcusa. Napisała go jakaś młoda kobieta, która kręciła film o przeszłości. Chciała, żebym rzuciła okiem na scenografię, przypomniała sobie rzeczy i miejsca z dawnych czasów. Jak gdybym przez całe życie nie udawała, że wymazałam je z pamięci.

Zignorowałam ten list. Cicho i ostrożnie złożyłam go z powrotem i wsunęłam w książkę, którą już dawno przestałam czytać. A później odetchnęłam. Nie po raz pierwszy przypominano mi o tym, co zaszło w Riverton pomiędzy Robbiem a siostrami Hartford. Pewnego razu zobaczyłam końcówkę filmu dokumentalnego o poetach z okresu wojny, który Ruth oglądała w telewizji. Kiedy na ekranie pojawiła się twarz Robbiego w towarzystwie nazwiska wypisanego drobną czcionką u dołu ekranu, poczułam, jak przechodzą mnie ciarki. Lecz nic się nie stało. Oblicze Ruth nawet nie drgnęło, narrator mówił dalej, a ja wróciłam do wycierania talerzy po obiedzie.

Innym razem, kiedy czytałam gazetę, mój wzrok przykuło znajome nazwisko umieszczone pośród recenzji w programie telewizyjnym. Harmonogram obchodów siedemdziesięciolecia brytyjskiej kinematografii. Zapamiętałam godzinę projekcji i z łomoczącym sercem zastanawiałam się, czy odważyć się to obejrzeć. Ostatecznie zasnąłam, zanim program dobiegł końca. Było tam bardzo niewiele na temat Emmeline. Kilka zdjęć z reklam, z

których żadne nie oddawało jej prawdziwego piękna, i urywek jednego z jej niemych filmów, *Romans Venus*, w którym wyglądała bardzo dziwnie: miała zapadnięte policzki i poruszała się sztywno jak marionetka. Nie wspomniano o innych filmach, o tych, które groziły wielkim skandalem. Chyba w dzisiejszych czasach swoboda seksualna i rozwiązłość nie wywołują już żadnego poruszenia.

Jednak chociaż podobne wspomnienia nawiedzały mnie wcześniej, list Ursuli był inny. Po raz pierwszy od przeszło siedemdziesięciu lat ktoś skojarzył z tymi wydarzeniami mnie, przypomniał sobie, że tamtego lata w rezydencji Riverton przebywała młoda kobieta nazwiskiem Grace Reeves. Przez to w jakiś sposób poczułam się bezbronna, wyobcowana. Winna.

Nie. Byłam niewzruszona. Ten list miał pozostać bez odpowiedzi.

I rzeczywiście: nie odpisałam.

Zaczęły się jednak dziać różne rzeczy. Wspomnienia, dawno wepchnięte w najciemniejsze zakamarki mojego umysłu, zaczęły wydostawać się stamtąd przez szczeliny. Zaczęły pojawiać się wyraźne obrazy, niezwykle ostre, jak gdyby od czasu ich zaistnienia wcale nie upłynęło całe moje życie. A po tych pierwszych nieśmiałych kroplach nastąpił prawdziwy potop. Całe rozmowy, słowo w słowo, z każdym szczegółem. Kolejne sceny rozgrywały się jak w filmie.

Zaskoczyłam samą siebie. Chociaż mole wygrzyły dziury w pamięci niedawnych zdarzeń, okazało się, że odległa przeszłość jest jasna i wyraźna. Ostatnio te duchy dawnych czasów odwiedzają mnie dosyć często i ze zdziwieniem spostrzegam, że niezbyt mi to przeszkadza. Na pewno nie tak bardzo, jak się obawiałam. Wręcz przeciwnie: zjawy, przed którymi uciekałam całe życie, stały się dla mnie niemal czymś w rodzaju pocieszenia, czymś godnym oczekiwania, jak jeden z seriali, o których bez przerwy mówi Sylvia, kiedy pospiesznie wykonuje swoje obowiązki, aby móc obejrzeć kolejny odcinek w głównym holu. Chyba zapomniałam, że pośród tego mroku były również jasne chwile.

Gdy w ubiegłym tygodniu przyszedł drugi list, w kopercie opatrzonej tym samym kanciastym pismem i napisany na takim

samym delikatnym papierze, wiedziałam, że się zgodzę, że spojrzę na tę scenografię. Poczułam zainteresowanie, a to nie zdarzyło mi się już od dosyć dawna. Niewiele rzeczy jest w stanie wzbudzić ciekawość u dziewięćdziesięcioośmioletniej staruszki, lecz mimo to chciałam poznać tę Ursulę Ryan, która zamierzała wskrzesić ich wszystkich z martwych i z taką pasją traktowała historię ich życia.

Zatem napisałam do niej list, poprosiłam Sylwię, żeby go wysłała, i umówiłyśmy się na spotkanie.

L'Sääá

Moje włosy, które zawsze były jasne, teraz są śnieżnobiałe i bardzo, bardzo długie. Poza tym są delikatne i z każdym mijającym dniem wydają się coraz cieńsze. To jedyny przejaw mojej próżności – Bóg wie, że poza tym nie mam do niej zbyt wielu okazji. Już nie. Noszę tę fryzurę od dawna, od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Mam prawdziwe szczęście, że Sylvia z radością szcztokuje mi włosy, bardzo delikatnie. Codziennie zaplata je w warkocz. Zdecydowanie wykracza to poza jej obowiązki służbowe i jestem za to bardzo wdzięczna. Muszę jej o tym powiedzieć.

Tego ranka miałam taką szansę, ale zapomniałam. Byłam bardzo podekscytowana. Kiedy Sylvia przyniosła mi sok, ledwie mogłam go wypić. Cienka nić energii włókien nerwowych, która oplatała mnie przez cały tydzień, w ciągu ostatniej nocy zmieniła się w supeł. Sylvia pomogła mi włożyć nową sukienkę koloru brzoskwini – tę, którą Ruth podarowała mi pod choinkę – i zmieniła mi kapcie na parę wyjściowych butów, które zazwyczaj marniały w szafie. Ich skóra zrobiła się sztywna i Sylvia musiała wcisnąć mi je na nogi siłą, lecz taka jest cena elegancji. Jestem za stara, żeby uczyć się nowych zwyczajów, i nie potrafię znieść skłonności młodszych pensjonariuszy do wychodzenia w kapciach.

Makijaż tchnął w moje policzki odrobinę życia, lecz pilnowałam, żeby Sylvia nie przesadziła. Nie chcę wyglądać jak manekin u

grabarza. Nie trzeba dużo różu, aby zakłócić równowagę: reszta mojej postaci jest taka błada, taka mała.

Z pewnym wysiłkiem zawiesiłam na szyi złoty medalion. Jego dziewiętnastowieczna uroda wyróżniała się na tle mojego praktycznego ubrania. Poprawiłam go, zastanawiając się nad moją śmiałością, nad tym, co powie Ruth, kiedy go zobaczy.

Moje spojrzenie powędrowało w dół. W kierunku małej srebrnej ramki na toalecie. Zdjęcie ślubne. Z radością bym je stamtąd usunęła – małżeństwo zostało zawarte tak dawno temu i trwało bardzo krótko (biedny John) – ale to moje ustępstwo na rzecz Ruth. Myśl, że usycham z tęsknoty za jej ojcem, chyba sprawia jej przyjemność.

Sylvia pomogła mi przejść do salonu – mimo wszystko nadal określa się go tym mianem – gdzie właśnie podawano śniadanie. Miałam poczekać na Ruth, która zgodziła się (jak powiedziała, wbrew swojemu zdrowemu rozsądkowi) zawieźć mnie do Shepperton Studios. Poprosiłam Sywii, żeby zostawiła mnie samą przy stoliku w rogu i przyniosła mi szklankę soku, po czym jeszcze raz przeczytałam list od Ursuli.

Ruth przyjechała punktualnie o ósmej trzydziści. Może i miała złe przeczucia co do sensu tej wyprawy, lecz mimo to jest – i zawsze była – niepoprawnie punktualna. Słyszałam gdzieś, że dzieci urodzone w niepewnych czasach nigdy nie pozbywają się poczucia niedoli i Ruth, dziecko drugiej wojny światowej, potwierdza tę regułę. Tak bardzo różni się od Sylwii, młodszej jedynie o piętnaście lat, która paraduje w obcisłych spódniczkach, zbyt głośno się śmieje i zmienia kolor włosów równie często jak swoich chłopaków.

Tamtego ranka Ruth weszła do salonu dobrze ubrana i idealnie wypielegnowana, lecz sztywna, jakby połknęła kij.

– Dzień dobry, mamó – powiedziała, muskając mój policzek zimnymi ustami. – Już po śniadaniu? – Zerknęła na stojącą przede mną, w połowie opróżnioną szklankę. – Mam nadzieję, że zjadłaś coś poza tym. Prawdopodobnie po drodze utknijemy w porannym korku i nie będziemy miały czasu na żadne postoje. – Zerknęła na zegarek. – Chcesz iść do toalety?

Pokręciłam głową, zastanawiając się, kiedy z powrotem stałam

się dzieckiem.

– Włożyłaś medalion ojca. Nie widziałam go całe wieki. – Wyciągnęła rękę, aby go poprawić, i z uznaniem pokiwała głową. – Miał świetny gust, prawda?

Przyznałam jej rację, poruszona bezgraniczną wiarą, jaką potrafią budzić małe kłamstewka zasłyszane w dzieciństwie. Ogarnął mnie przypływ czułości wobec mojej drażliwej córki i szybko stłumiłam sfatygowane matczyne poczucie winy, które wypływa na wierzch po każdym spojrzeniu na jej zalęknioną twarz.

Wzięła mnie za rękę, wsadziła ją sobie pod ramię, a w drugą dłoń włożyła mi laskę. Inni wolą chodziki albo nawet te zmotoryzowane wózki, ale mnie nadal w zupełności wystarcza laska, ponieważ jestem wierna starym przyzwyczajeniom i nie widzę powodu, dla którego miałabym to zmieniać.

Moja Ruth to dobra dziewczyna – jest rozsądna i niezawodna. Dziś włożyła oficjalny strój – taki, jaki wybrałaby na wizytę u notariusza albo lekarza. Wiedziała, że tak robi. Chciała wywrzeć dobre wrażenie. Pokazać tej reżyserce, że bez względu na przeszłość swojej matki, Ruth Bradley McCourt jest szanującą się przedstawicielką klasy średniej – ot co!

Przez jakiś czas jechałyśmy w milczeniu, po czym Ruth zaczęła stroić radio. Miała palce staruszki. Knykcie spuchły w miejscach, przez które dziś rano przeciskała pierścionki. Obserwowanie, jak starzeje się moja własna córka, wprawia mnie w zdumienie. Po chwili zerknęłam na własne dłonie, splecione na podolku. Dawniej były takie zajęte wykonywaniem niewdzięcznych i skomplikowanych zadań, a teraz leżały bezwładnie, szare i zwiotczałe. W końcu Ruth zdecydowała się na stację nadającą muzykę klasyczną. Przez chwilę spiker w nieco idiotyczny sposób opowiadał o swoim weekendzie, a potem puścił Chopina. To oczywiście zbieg okoliczności, że właśnie dzisiaj musiałam usłyszeć walc cis-moll.

Ruth zaparkowała przed kilkoma wielkimi białymi budynkami, kwadratowymi niczym hangary. Wyłączyła silnik i siedziała przez chwilę, patrząc prosto przed siebie.

– Nie wiem, po co to robisz – powiedziała cicho i zacisnęła usta.

– Tyle w życiu osiągnęłaś. Podróżowałaś, studiowałaś, wychowałaś dziecko... Dlaczego chcesz, żeby przypominano ci, kim byłaś w przeszłości?

Nie oczekiwała odpowiedzi, a ja jej nie udzieliłam. Gwałtownie westchnęła, wyskoczyła z samochodu i wyciągnęła z bagażnika moją łaskę. Bez słowa pomogła mi wsiąść.

Czekała na nas jakaś młoda kobieta. Filigranowa dziewczyna z bardzo długimi jasnymi włosami, które opadały jej na plecy, a z przodu tworzyły gęstą grzywkę. Należała do tego typu dziewcząt, które można by określić jako zwyczajne, gdyby nie została obdarzona wspaniałymi ciemnymi oczami. Wyglądały jak element olejnego obrazu: były okrągłe, głębokie i pełne ekspresji, miały intensywną barwę mokrej farby.

Z uśmiechem pospieszyła w naszą stronę i wyjęła moją dłoń spod ręki Ruth.

– Pani Bradley, bardzo się cieszę, że zechciała pani przyjechać. Mam na imię Ursula.

– Grace – powiedziałam, zanim Ruth zdążyła wtrącić: „doktor”.
– Jestem Grace.

– Grace – rozpromieniła się Ursula. – Nie masz pojęcia, jak bardzo ucieszył mnie twój list. – Mówiła z brytyjskim akcentem, co w zestawieniu z amerykańskim adresem, który widniał na jej korespondencji, było dosyć zaskakujące. Zwróciła się do Ruth: – Bardzo dziękuję, że zechciała pani przywieźć do nas mamę.

Poczułam, jak ciało Ruth się napina.

– Przecież nie mogłabym wsadzić jej do autobusu, prawda?

Ursula roześmiała się, a mnie ucieszyło to, że młodzi ludzie tak szybko interpretują nieuprzejmość jako ironię.

– Cóż, zapraszam do środka. Strasznie tu zimno. Proszę wybaczyć to dzikie zamieszanie. W przyszłym tygodniu zaczynamy zdjęcia i stajemy na głowie, żeby wszystko przygotować na czas. Miałam nadzieję, że spotka się pani ze scenografką, ale musiała pojechać do Londynu, żeby kupić jakiś materiał. Może zdąży wrócić, zanim panie wyjadą... Uwaga na próg, jest dosyć wysoki.

Wspólnie z Ruth wpełchnęły mnie do holu i poprowadziły

mrocznym korytarzem z mnóstwem drzwi po obydwu stronach. Niektóre z nich były uchylone, więc zerkałam do środka, dostrzegając niewyraźne postacie usadowione przed świecącymi ekranami komputerów. Zupełnie nie przypominało to planu filmowego, który wiele lat temu odwiedziłam w towarzystwie Emmeline.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Ursula, kiedy dotarliśmy do ostatnich drzwi. – Proszę wejść, a ja przyniosę herbatę. – Popchnęła drzwi i w chwili, w której przekroczyłam próg, cofnęłam się do czasów mojej młodości.



Znalazłam się w salonie rezydencji Riverton. Nawet tapeta była identyczna. Płomienne tulipany, bordowe *art nouveau* z Silver Studios*, świeże jak w dniu, w którym tapeciarze przywieźli je z Londynu. Pośrodku, przed kominkiem, stała skórzana kanapa ozdobiona drapowanymi indyjskimi jedwabiami, dokładnie takimi samymi jak te, które lord Ashbury, dziadek Hannah i Emmeline, przywiózł z zagranicznych podróży jako młody oficer marynarki. Okrętowy zegar stał tam gdzie zawsze, na kominku, tuż obok kandelabru Waterforda. Ktoś musiał zadać sobie wiele trudu, żeby go zdobyć, lecz każde tyknięcie odsłaniało oszustwo. Nawet teraz, jakieś osiemdziesiąt lat później, pamiętam dźwięk zegara stojącego w salonie. Cichy, lecz zdecydowany sposób, w jaki odmierzał upływ czasu: cierpliwy, pewny, chłodny – jak gdyby już wtedy wiedział, że dla mieszkańców tego domu czas nie jest sprzymierzeńcem.

Ruth poprowadziła mnie w stronę kanapy i posadziła na jej krańcu. Miałam świadomość panującego wokół poruszenia, ludzi, którzy taszczyli ogromne reflektory na owadzych nogach, wybuchów śmiechu.

Pomyślałam o moim ostatnim pobycie w salonie – nie w tym sztucznym, lecz w prawdziwym – w dniu, w którym już wiedziałam, że opuszczam Riverton i nigdy tam nie wrócę.

*Jedna z najbardziej wpływowych pracowni projektów tekstylnych w Wielkiej Brytanii, powstała w 1880 roku i przeżywała okres rozkwitu aż do połowy XX wieku.

O tym, że odchodzę, powiedziałam Teddy’emu. Nie był zadowolony, lecz nie posiadał już wtedy dawnego autorytetu, odebrały mu go ówczesne wydarzenia. Jego twarz pokryła się nieco zdumioną bladością; tak blady jest kapitan, który wie, że jego statek tonie, lecz nie jest w stanie temu zapobiec. Poprosił, żebym została, błagał, mówiąc, żebym zrobiła to nie tyle dla niego, ile przez lojalność wobec Hannah. I prawie się zgodziłam. Prawie.

Ruth lekko mnie szturchnęła.

– Mamo? Ursula do ciebie mówi.

– Przepraszam. Nie usłyszałam.

– Mama jest trochę głucha – powiedziała Ruth. – To normalne w jej wieku. Próbowалам namówić ją na badania, ale potrafi być dosyć uparta.

Uparta, nie przeczę. Ale nie jestem głucha i nie lubię, kiedy ludzie zakładają, że jest odwrotnie – bez okularów kiepsko widzę, szybko się męczę, nie pozostał mi już ani jeden własny ząb i żyję tylko dzięki koktajlowi z tabletek, lecz słuch mam dobry jak nigdy wcześniej. Po prostu z wiekiem nauczyłam się słuchać tylko tego, co chcę usłyszeć.

– Właśnie mówiłam, pani Bradley, Grace, że pewnie dziwnie się czujesz, będąc z powrotem w Riverton. Jeśli można to tak nazwać. Ta wizyta musi budzić mnóstwo wspomnień?

– Tak. – Odchrząknęłam. – Tak, rzeczywiście.

– Bardzo się cieszę – powiedziała Ursula z uśmiechem. – To chyba świadczy o tym, że dobrze się spisaliśmy.

– O tak.

– Czy jest coś, co tu nie pasuje? O niczym nie zapomnieliśmy?

Znowu rozejrzałam się wokół. Plan filmowy dopracowano do najdrobniejszego szczegółu. Nie zapomniano nawet o powieszeniu przy drzwiach zestawu herbów, pośrodku których tkwił szkocki oset pasujący do tego na moim medalionie.

A jednak czegoś brakowało. Pomimo precyzji wykonania plan filmowy był dziwnie pozbawiony atmosfery. Przypominał eksponat w muzeum: interesujący, lecz martwy.

Rzecz jasna, było to całkowicie zrozumiałe. Chociaż lata

dwudzieste nadal pozostają żywe w mojej pamięci, dla scenografów filmowych to „dawne czasy”. Historyczne tło, którego odtworzenie wymaga równie wielu badań i mrówczej pracy nad szczegółami, co rekonstrukcja średniowiecznego zamku.

Czułam na sobie wzrok Ursuli, która niecierpliwie czekała na moją opinię.

– Jest idealnie – stwierdziłam w końcu. – Wszystko na swoim miejscu.

Wtedy powiedziała coś, co sprawiło, że drgnęłam.

– Wszystko oprócz rodziny.

– Tak. Wszystko oprócz rodziny. – Zamrugałam i przez chwilę miałam ich przed oczami: Emmeline rozłożoną na kanapie, pokazującą piękne nogi i rzęsy, Hannah, która marszcząc brwi, czyta jedną z książek z biblioteki, Teddy’ego kroczącego po perskim dywanie...

– Zdaje się, że Emmeline była bardzo rozrywkową kobietą – powiedziała Ursula.

– Tak.

– Łatwo było zebrać informacje na jej temat: imię Emmeline figurowało chyba we wszystkich rubrykach towarzyskich. Nie wspominając o listach i pamiętnikach połowy kawalerów, którzy byli wówczas do wzięcia!

Przytaknęłam.

– Zawsze była popularna.

Ursula spojrzała na mnie zza swojej grzywki.

– Odtworzenie charakteru Hannah nie było takie łatwe.

Odchrząknęłam.

– Nie?

– Ona była bardziej tajemnicza. Nie chodzi o to, że nie wspomniano o niej w prasie: owszem, wspomniano. Ona również miała swoich wielbicieli. Po prostu mam wrażenie, że niewielu ludzi naprawdę ją znało. Podziwiali ją, czasami wręcz czcili, ale tak naprawdę jej nie znali.

Pomyślałam o Hannah. Pięknej, inteligentnej i owładniętej tęsknotą Hannah.

– Była skomplikowaną osobą.
– Tak – powiedziała Ursula. – Właśnie takie odniosłam wrażenie.

Ruth, która przysłuchiwała się naszej rozmowie, powiedziała:

– Jedna z nich wyszła za jakiegoś Amerykanina, prawda?

Spojrzałam na nią zaskoczona. Zawsze dokładała wszelkich starań, by o Hartfordach wiedzieć jak najmniej.

Zauważyła moje spojrzenie.

– Trochę na ten temat czytałam.

Cała Ruth: przygotowała się do tej wizyty, bez względu na to, jak wielką odrazę budził w niej jej temat.

Ruth z powrotem zwróciła się do Ursuli i ostrożnie, bacząc, by nie popełnić jakiegoś błędu, powiedziała:

– Zdaje się, że wyszła za męża po wojnie. To była Hannah czy Emmeline?

– Hannah. – Udało się. Zrobiłam to. Wypowiedziałam jej imię na głos.

– A co stało się z drugą siostrą? – ciągnęła Ruth. – Czy Emmeline kiedykolwiek wyszła za męża?

– Nie – powiedziałam. – Była zaręczona.

– Kilkakrotnie – wtrąciła Ursula z uśmiechem. – Chyba nie potrafiła zdecydować się na jednego mężczyznę.

Ależ zdecydowała się. W końcu się zdecydowała.

– Pewnie nigdy się nie dowiemy, co dokładnie zaszło tamtego wieczoru. – To były słowa Ursuli.

– Masz rację. – Moje zmęczone stopy zaczynały buntować się przeciwko uciskowi skórzanych butów. Dziś wieczorem będą opuchnięte, a na ich widok Sylvia wyda okrzyk i będzie nalegała, abym wymoczyła je w ciepłej wodzie. – Pewnie się nie dowiemy.

Ruth wyprostowała się na krześle.

– Ale pani musi wiedzieć, co się stało, panno Ryan. W końcu robi pani o tym film.

– Oczywiście – powiedziała Ursula. – Znam podstawowe informacje. Tamtego wieczoru w Riverton była moja prababka, spokrewniona z siostrami poprzez małżeństwo z ich wujem, a cała

historia z czasem stała się rodzinną legendą. Prababka opowiedziała ją babce, babka mamie, a mama mnie. I to wiele razy. Zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia nakręcę o tym film. – Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami. – Ale w każdej historii są jakieś luki, prawda? Zgromadziłam całe archiwum dokumentów: policyjne raporty i gazety są pełne faktów, lecz one wszystkie pochodzą z drugiej ręki. Podejrzewam, że podlegają dosyć ścisłej cenzurze. Niestety, obydwie osoby, które były świadkami samobójstwa, umarły wiele lat temu.

– Muszę przyznać, że to dosyć makabryczny materiał na film – rzekła Ruth.

– Ależ nie, jest fascynujący – zaprzeczyła Ursula. – Wschodząca gwiazda angielskiej sceny poetyckiej odbiera sobie życie nad ciemnym jeziorem w wieczór wielkiego przyjęcia. Jedynymi świadkami są dwie piękne siostry, które już nigdy nie zamienią ze sobą słowa. Jedna z nich jest jego narzeczoną, a druga rzekomą kochanką. To strasznie romantyczne.

Węzeł w moim żołądku odrobinę się rozluźnił. Zatem ich tajemnica nadal jest bezpieczna. Ursula nie zna prawdy. Zastanawiałam się, dlaczego w ogóle myślałam, że jest inaczej. Zastanawiałam się również, cóż za opacznie pojęta lojalność kazała mi starać się, by ta prawda nie wyszła na jaw. Dlaczego po tych wszystkich latach przejmowałam się tym, co pomyślą ludzie.

Jednak również na to pytanie znałam odpowiedź. Miałam tę lojalność we krwi. Pan Hamilton powiedział mi o tym w dniu mojego wyjazdu, kiedy stałam na najwyższym stopniu schodów dla służby, ze skórzaną torbą wypełnioną skąpym dobytkiem, a pani Townsend popłakiwała w kuchni. Powiedział, że mam tę lojalność we krwi, podobnie jak moja matka i jej rodzice, i że popełniam głupstwo, odchodząc, porzucając porządne miejsce pracy i dobrą rodzinę. Potępił brak lojalności i dumy powszechny wśród Anglików, i przysiągł, że zrobi wszystko, by nie skaził on Riverton. Nie po to wygraliśmy wojnę, żeby tracić nasze zasady.

Wtedy mu współczułam: był taki nieustępliwy, taki pewny, że odchodząc ze służby, skazując się na finansowy i moralny

upadek. Dopiero później zaczęłam rozumieć, jak bardzo musiał być przerażony, jak nieuniknione musiały mu się wydawać gwałtowne zmiany społeczne, które otaczały go ze wszystkich stron, i rzeczywistość, która deptała mu po piętach. Jak rozpaczliwie próbował trzymać się starych zasad i pewników.

Ale miał rację. Nie we wszystkim, nie wtedy, gdy mówił o upadku. Ani moje finanse, ani moralność nie ucierpiały po odejściu z Riverton, lecz jakaś część mnie nigdy nie opuściła tego domu. A raczej jakaś część Riverton nigdy nie opuściła mnie. Jeszcze wiele lat później wystarczył zapach pszczelego wosku firmy Stubbins & Co., chrzęst żwiru pod kołami samochodu, pewien szczególnie dźwięk dzwonka do drzwi, i znowu czułam się jak czternastolatka zmęczona po długim dniu pracy, która syczy kakao przy kominku w suterenie, podczas gdy pan Hamilton donośnym głosem czyta wybrane fragmenty „The Times” (te, które uznał za odpowiednie dla naszych podatnych na wpływy uszu), Nancy marszczy brwi w odpowiedzi na jakiś zuchwały komentarz ze strony Alfreda, a pani Townsend cichutko pochrapuje w bujanym fotelu, trzymając w pulchnych dłoniach ręczną robótkę...

– Oto i herbata – powiedziała Ursula. – Dzięki, Tony.

Obok mnie wyrósł jakiś młody mężczyzna, który przyniósł prowizoryczną tacę z kolorowymi kubkami i wypełnionym cukrem starym słoikiem po dzemie. Postawił ją na stoliku do kawy i Ursula zaczęła rozdawać kubki. Ruth podała mi jeden z nich.

– Mamo, co się dzieje? – Wyciągnęła chusteczkę i sięgnęła w kierunku mojej twarzy. – Źle się czujesz?

Wtedy poczułam, że mam wilgotne policzki.

Sprawił to aromat herbaty. I fakt, że siedziałam tu, w tym pokoju, na tej kanapie. Ciężar dawnych wspomnień. Sekretów, które długo trzymano w tajemnicy. Zderzenie przeszłości z teraźniejszością.

– Grace? Podać ci coś? – To pytanie padło z ust Ursuli. – Może przykręcić ogrzewanie?

– Będę musiała odwieźć ją do domu. – Znowu odezwała się Ruth. – Wiedziałam, że to nie jest dobry pomysł. To dla niej zdecydowanie zbyt wiele wrażeń.

Tak, chciałam wracać do domu. Chciałam znaleźć się w domu. Poczułam, jak czyjeś ręce dźwigają mnie w górę, wsadzają mi łaskę w dłoń. Wokół wirowały jakieś głosy.

– Przepraszam – powiedziałam, nie bardzo wiedząc do kogo.
– Po prostu jestem bardzo zmęczona. – Bardzo zmęczona. To wszystko było tak dawno temu.

Bolały mnie stopy: buntowały się przeciwko uciskowi butów. Ktoś – chyba Ursula – wyciągnęła rękę, żeby mnie podtrzymać. Zimny wiatr uderzył mnie w mokre policzki.

Potem znalazłam się w samochodzie Ruth, a obok przemykały domy, drzewa i znaki drogowe.

– Nie martw się, mam, już po wszystkim – powiedziała Ruth.
– To moja wina. Nigdy nie powinnam była się na to zgodzić.

Położyłam dłoń na jej ramieniu i poczułam, jaka jest spięta.

– Powinnam była zaufać instynktowi – wyrzucała sobie. – Głupio postąpiłam.

Zamknęłam oczy. Wsłuchałam się w szum chłodnicy, w rytm wycieraczek, warkot samochodu.

– Już po wszystkim, teraz będziesz mogła trochę odpocząć – powiedziała Ruth. – Jedziesz do domu. Już nigdy nie będziesz musiała tam wracać.

Uśmiechnęłam się i poczułam, że odpływam.

Za późno, już jestem w domu. Wróciłam.

J àaì ÐŸ ÜÜááh

Nastał pogodny ranek, przedsmak wiosny. Siedzę na żelaznej ławce w ogrodzie, pod wiązem. Świeże powietrze dobrze mi robi (tak twierdzi Sylvia), więc tkwię tu, wystawiając twarz w kierunku nieśmiałych promieni zimowego słońca. Moje policzki są zimne i zwiotczałe niczym para brzoskwiń, które zbyt długo leżały w lodówce.

Myślę o dniu, w którym zaczęłam pracować w Riverton. Pamiętam go dokładnie. Późniejsze lata składają się w harmonijkę i znowu nastaje czerwiec tysiąc dziewięćset czternastego roku. Znowu mam czternaście lat: jestem naiwna, nieobyta, wystraszona i podążam za Nancy w górę wiązowych schodów. Jej spódnica głośno szeleści wraz z każdym krokiem, a każdy szelest wytyka mi brak doświadczenia. Z wysiłkiem wdrapuję się za nią. Rączki walizki wrzynają mi się w palce. Tracę Nancy z oczu, kiedy skręca ku kolejnemu biegowi schodów, i podążam za szelestem jej spódnicy...

Kiedy Nancy dotarła na sam szczyt, przeszła ciemnym niskim korytarzem i w końcu zatrzymała się przed małymi drzwiami, delikatnie stukając obcasami. Odwróciła się i zmarszczyła brwi, widząc, jak kuśtykam. Oczy, które posłały mi surowe spojrzenie, wydały mi się równie czarne jak jej włosy.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała. Jej urywane angielskie słowa nie były w stanie stłumić irlandzkiego brzmienia samogłosek. –

Nie miałam pojęcia, że jesteś taka powolna. Jestem pewna, że pani Townsend nic o tym nie wspominała.

– Nie jestem powolna. To przez walizkę. Jest ciężka.

– Cóż, nigdy nie widziałam, żeby ktoś robił takie zamieszanie z powodu walizki. Nie wiem, jaka będzie z ciebie pokojówka, skoro zwykła walizka ubrań sprawia, że wleciesz się z tyłu. Lepiej nie pokazuj się panu Hamiltonowi, kiedy będziesz wlekle szczotkę do dywanów jak worek mąki.

Popchnęła drzwi. Pokój był mały i skąpo umeblowany. Nie wiedzieć czemu pachniał ziemniakami. Jednak połowa tego pokoju – żelazne łóżko, komoda i krzesło – miała należeć do mnie.

– Tamta strona jest twoja – powiedziała, kiwając w kierunku dalszego krańca łóżka. – Ja zajmuję tę stronę i będę wdzięczna, jeśli powstrzymasz się od dotykania moich rzeczy. – Przebiegła palcami po swojej komodzie, krucyfiksie, Biblii i szczotce do włosów. – Nie tolerujemy tu złodziejasków. A teraz rozpakuj się, włóż fartuszek i zejdź na dół wypełniać swoje obowiązki. Pamiętaj, żadnego ociągania się i, na miłość boską, nie wychodź z suterenu. Dziś w południe jest uroczysty lunch z okazji przyjazdu wnucząt jaśnie pana, a nie zdążyliśmy jeszcze posprzątać pokoiów. Nie mam czasu cię pilnować. Mam nadzieję, że nie jesteś guzdrałą?

– Nie, Nancy – odparłam, nadal urażona sugestią, że mogłabym być złodziejką.

– Cóż. To się jeszcze okaże. – Pokręciła głową. – Sama nie wiem. Mówię, że potrzebuję dziewczyny do pomocy, i kogo mi przysyłają? Żadnego doświadczenia, żadnych referencji i, sądząc po wyglądzie, guzdrałą.

– Nie jestem...

– Sza – powiedziała, tupiąc wąską stopą. – Pani Townsend mówi, że twoja matka była szybka i pojętna, a jabłko nie pada daleko od jabłoni. Lepiej, żeby tak było. Ani jaśnie pani, ani ja nie będziemy tolerować guzdrałstwa u kogoś takiego jak ty. – Po tych słowach z dezaprobatą pokręciła głową, odwróciła się na pięcie i zostawiła mnie samą w małym mrocznym pokoiku na poddaszu. Szast... szast... szast...

Wstrzymałam oddech, nasłuchując.

Wreszcie, pozostawiona sam na sam z westchnieniami wielkiego domu, podeszłam na paluszkach do drzwi, zamknęłam je lekkim ruchem, i odwróciłam się, żeby nasycić wzrok moim nowym pokojem.

Nie było zbyt wiele do oglądania. Musnęłam dłonią krawędź łóżka i spojrzałam w stronę skośnego sufitu. Na skraju materaca leżał szary ręcznik zacerowany w rogu przez czyjąś sprytną dłoń. Na ścianie wisiał mały oprawiony w ramkę obrazek, jedyna dekoracja w całym pokoju: prymitywna scena myśliwska przedstawiająca upolowaną sarnę krwawiącą z rannego boku. Pospiesznie odwróciłam wzrok od konającego zwierzęcia.

Ostrożnie i cicho usiadłam, starając się nie pognieść gładkiej pościeli. Sprężyny łóżka zaskrzypiały w odpowiedzi, podskoczyłam jak oparzona, a moje policzki oblały się rumieńcem.

Wąskie okno wpuszczało do pokoju snop przyćmionego światła. Wstałam, uklękłam na krześle i wyjrzałam na zewnątrz.

Pokój znajdował się w tylnej części domu, a w dodatku bardzo wysoko. Ujrzałam całą drózkę ciągnącą się przez różany ogród, pod treliazami, w kierunku południowej fontanny. Wiedziałam, że dalej znajduje się jezioro, a po drugiej stronie wioska i chatka, w której spędziłam pierwsze czternaście lat życia. Wyobraziłam sobie matkę siedzącą przy kuchennym oknie, gdzie było najlepsze światło, pochyloną nad cerowanym ubraniem.

Zastanawiałam się, jak sobie radzi pozostawiona w samotności. Ostatnio gorzej się czuła. W nocy słyszałam jęki dobiegające od strony łóżka, kiedy jej kości boleśnie przemieszczały się pod skórą. Bywały ranki, gdy miała tak zeszywniałe palce, że musiałam polewać je ciepłą wodą i pocierać, aby mogła przynajmniej wyciągnąć z koszyka szpulkę nici. Pani Rodgers z wioski zgodziła się zaglądać do niej codziennie, a dwa razy w tygodniu wpadał handlarz starzyzną, lecz mimo to czekało ją okropnie wiele samotnych chwil. Było mało prawdopodobne, aby bez mojej pomocy nadal zajmowała się cerowaniem. Skąd będzie brała pieniądze? Moje skąpe zarobki oczywiście trochę pomogą, ale chyba byłoby lepiej, gdybym przy

niej została.

Jednak to właśnie ona nalegała, abym starała się o pracę. Nie chciała słuchać moich argumentów przeciwko temu pomysłowi. Pokręciła tylko głową i przypomniała mi, że ona wie lepiej. Usłyszała gdzieś, że szukają nowej pracownicy, i była pewna, że potrzebują właśnie kogoś takiego jak ja. Nie mówiła, skąd to wie. Typowe: moja matka i jej tajemnice.

– To niedaleko – powiedziała. – W wolnych dniach będziesz mogła wracać do domu, żeby mi pomóc.

Musiała dostrzec moje wahanie, ponieważ wyciągnęła rękę w stronę mojego policzka. Był to obcy gest, którego wcale się nie spodziewałam. Zaskoczenie wywołane przez dotyk jej szorstkiej dłoni i palców pokłutych igłami, sprawiło, że się wzdrygnęłam.

– Już dobrze, dziecko. Wiedziałaś, że nadejdzie dzień, w którym będziesz musiała znaleźć sobie posadę. Tak będzie najlepiej: to dobra okazja. Zobaczysz. Niewielu pracodawców przyjęłoby tak młodą dziewczynę. Lord Ashbury i lady Violet nie są złymi ludźmi. Pan Hamilton może sprawiać wrażenie surowego, lecz z pewnością jest sprawiedliwy. Pani Townsend również. Pracuj ciężko, rób, co ci każą, a nie będziesz miała żadnych problemów. – Po tych słowach mocno ścisnęła moje policzki drżącymi palcami. – I jeszcze jedno, Gracie. Nie zapominaj, gdzie jest twoje miejsce. Bez tego zbyt wiele młodych dziewcząt wpada w tarapaty.

Obiecałam stosować się do jej rad i w następną sobotę, ubrana w niedzielną sukienkę, wdrapałam się na wzgórze i skierowałam kroki ku wielkiej rezydencji, aby odbyć rozmowę z lady Violet.

Powiedziała mi, że to mały i spokojny dom: tylko ona i jej mąż, lord Ashbury, którego przez większość czasu pochlania zarządzanie majątkiem i członkostwo w klubach. Ich obydwaj synowie, major Jonathan i pan Frederick, byli już dorośli i mieszkali we własnych domach wraz z rodzinami, lecz czasami wpadali z wizytą i z pewnością będę miała okazję ich zobaczyć, o ile oczywiście będę ciężko pracować i postanowią zatrudnić mnie na stałe. Powiedziała, że ponieważ mieszkają w Riverton tylko we dwoje, obywają się bez służącej, pozostawiając prowadzenie domu zręcznym dłoniom pana

Hamiltona, a sprawy kulinarne kucharce, pani Townsend. Jeśli ci dwoje będą zadowoleni z mojej pracy, uzna to za wystarczającą rekomendację do zatrzymania mnie na służbie.

Następnie zamilkła i uważnie mi się przyjrzała, co sprawiło, że poczułam się jak schwytała w pułapkę, jak mysz w słoiku. Natychmiast przypomniałam sobie o rąbku spódnicy oszpeconym ciąglymi próbami dopasowania jej długości do mojego rosnącego ciała, o małej łatce na pończosze, która ocierała się o buty i stawała się coraz cieńsza, o mojej zbyt długiej szyi i za dużych uszach.

Wtedy zamruła powiekami i uśmiechnęła się: był to powściągliwy uśmiech, który zmieniał jej oczy w lodowate półksiężycy.

– Cóż, wydajesz cię czysta, a pan Hamilton twierdzi, że potrafisz szyć. – Pokiwałam głową, a ona wstała i oddaliła się ode mnie w kierunku biurka, delikatnie muskając szeszlą dłonią. – Jak się miewa twoja matka? – zapytała, nie odwracając się. – Wiesz, że ona również kiedyś u nas pracowała? – Odpowiedziałam, że owszem, wiem o tym, a matka miewa się dobrze, dziękuję, że pani pyta.

Chyba udzieliłam prawidłowej odpowiedzi, bo chwilę później zaproponowała mi piętnaście funtów rocznie. Powiedziała, że zaczynam pracę od następnego dnia, i zadzwoniła po Nancy, żeby wskazała mi drogę do wyjścia.

Odsunęłam twarz od okna, starałam z szyby ślad pozostawiony przez mój oddech i zesłam z krzesła.

Moja walizka leżała tam, gdzie ją upuściłam – po stronie łóżka, która należała do Nancy – więc powlekłam ją w kierunku komody, która miała być moja. Staralam się nie patrzeć na krwawiącą sarnę, zastygłą w chwili ostatniego przerażenia, i zajęłam się wkładaniem do górnej szuflady ubrań: dwóch spódnic, dwóch bluzek i pary czarnych pończoch, które matka kazała mi zacerować, by wystarczyły na całą zbliżającą się zimę. Później, zerkając na drzwi, z łomoczącym sercem wydobyłam mój sekretny bagaż.

Były to trzy książki. Zielone okładki miały sfatygowane rogi i wyblakłe złote napisy. Schowałam je w głąb najniższej szuflady i przykryłam szalikiem, starając się osłonić je ze wszystkich stron,

aby stały się zupełnie niewidoczne. Pan Hamilton wyraził się jasno. Święta Biblia była dopuszczalna, lecz wszelkie inne lektury były najprawdopodobniej szkodliwe i musiały uzyskać jego aprobatę, gdyż w przeciwnym razie groziła ich konfiskata. Nie byłam żadną buntowniczką – wręcz przeciwnie: w tamtych czasach miałam przemożne poczucie obowiązku – ale nie potrafiłam wyobrazić sobie życia bez Holmesa i Watsona.

Wepchnęłam walizkę pod łóżko.

Na haczyku za drzwiami wisiał mój strój – czarna spódnica, biały fartuszek i czepek z falbanką. Włożyłam go, czując się jak dziecko, które odkryło szafę swojej mamy. Spódnica była sztywna, a kołnierzyk drapał mnie w szyję w miejscu, w którym długie godziny użytkowania dopasowały go do czyichś bardziej obfitych kształtów. Kiedy zawiązywałam fartuszek, ze środka wyfrunął mały biały mól, który wyruszył na poszukiwania nowej kryjówki, ulatując w stronę wysokich krokwi, a ja marzyłam o tym, żeby móc do niego dołączyć.

Czepek został uszyty z białej bawełny i tak wykrochmalony, aby przód sterczał ku górze. Skorzystałam z lusterka wiszącego nad komodą Nancy, aby upewnić się, że włożyłam go jak trzeba, i przyglądnąć jasne włosy nad uszami, jak pokazywała mi matka. Dziewczyna w lustrze zerknęła na mnie, a ja pomyślałam o tym, jak bardzo poważną ma twarz. To dziwne uczucie, kiedy człowiek w chwili zamyślenia dostrzega swoje odbicie w lustrze. Moment nieuwagi, odarty z udawania, kiedy zapomina się nawet o oszukiwaniu siebie samego.



Sylvia przyniosła mi kubek parującej herbaty i kawałek ciasta cytrynowego. Siedzi obok mnie na żelaznej ławce i zerkając w stronę biura, wyciąga paczkę papierosów (to znamienne, że moja oczywista potrzeba zacerpnięcia świeżego powietrza wydaje się zawsze współgrać z jej potrzebą potajemnej przerwy na papierosa). Proponuje mi jednego. Jak zwykle odmawiam, a ona jak zwykle mówi:

– W twoim wieku to pewnie lepiej. Wypalę za ciebie, dobrze?

Sylvia dobrze dzisiaj wygląda – zrobiła sobie inną fryzurę – i mówię jej o tym. Kiwa głową, wypuszcza chmurę dymu i odrzuca głowę w bok, a na jej ramieniu ląduje długi kucyk.

– Zrobiłam sobie treskę – mówi. – Marzyłam o niej od wieków i po prostu pomyślałam: Dziewczyno, życie jest zbyt krótkie, żeby odmawiać sobie efektownego wyglądu. Włosy wyglądają jak prawdziwe, prawda?

Ociągam się z odpowiedzią, co uznaje za przytaknięcie.

– Bo takie są. Prawdziwe włosy, takie, które noszą gwiazdy. Masz. Dotknij.

– Mój Boże – mówię, gładząc szorstki kucyk. – Prawdziwe włosy.

– W dzisiejszych czasach wszystko jest możliwe. – Macha papierosem, a ja zauważam soczyście purpurowy ślad, który zostawiły na nim jej usta. – Oczywiście, trzeba za to zapłacić. Na szczęście wcześniej udało mi się odłożyć trochę grosza na ciężkie czasy.

Uśmiecha się rozpromieniona i wtedy pojmuję przyczynę tej innowacyjnej zmiany. I rzeczywiście, z kieszeni bluzki Sylvia wydobywa zdjęcie.

– To Anthony – mówi rozpromieniona.

Z namaszczeniem wkładam okulary i spoglądam na zdjęcie mężczyzny o siwych wąsach, który zbliża się do kresu wieku średniego.

– Wygląda uroczo.

– Och, Grace. – Sylvia wydaje z siebie radosne westchnienie. – On jest uroczy. Parę razy wybraliśmy się tylko na herbatę, ale mam co do niego bardzo dobre przeczucia. To prawdziwy dżentelmen, wiesz? Nie jak te obiboki, które trafiały mi się w przeszłości. Otwiera przede mną drzwi, przynosi kwiaty, odsuwa dla mnie krzesło, kiedy gdzieś razem wychodzimy. To prawdziwy staromodny dżentelmen.

Domyślam się, że ta ostatnia uwaga została dodana specjalnie z myślą o mnie. Wynika z założenia, że starszym ludziom z pewnością imponują staromodne cechy.

– Czym się zajmuje? – pytam.

– Uczy w miejscowej szkole średniej. Historii i angielskiego. Jest piekielnie inteligentny. Poza tym to społecznik. Pracuje jako wolontariusz na rzecz lokalnego towarzystwa historycznego. Mówi, że te wszystkie damy, lordowie, książęta i księżniczki to jego hobby. Wie dosłownie wszystko o tej twojej rodzinie: tej, która kiedyś mieszkała w tamtym wielkim domu na wzgórzu... – Urywa i zerka w stronę biura, po czym przewraca oczami. – O matko. To siostra Ratchet. Powinnam roznosić teraz herbatę. Na pewno znowu naskarżył na mnie Bertie Sinclair. Jeśli mam być szczerą, to odmówienie sobie ciasteczka raz na jakiś czas dobrze by mu zrobiło. – Gasi papierosa i wrzuca niedopałek do pudełka z zapalnikami. – No dobra, taki już mój los. Przynieść ci coś, zanim zacznę obsługiwać innych, kochana? Prawie nie tknęłaś herbaty.

Zapewniam ją, że niczego mi nie trzeba, i po chwili już pędzi trawnikiem, a jej biodra i kucyk kołyszą się w zgodnym rytmie.

To miłe, kiedy ktoś o ciebie dba, przynosi herbatę. Lubię myśleć, że zasłużyłam sobie na tę odrobinę luksusu. Bóg wie, że wystarczająco często to ja przynosiłam komuś herbatę. Czasami z rozbawieniem zastanawiam się, jak Sylvia poradziłaby sobie na służbie w Riverton. To nie dla niej: milczący, posłuszny los służącej. Ma w sobie zbyt wiele niefrasobliwości, nie zraziłyby jej częste uwagi na temat tego, gdzie jest jej „miejsce”, dobroduszne zalecenia, aby nie oczekiwała zbyt wiele. Nie, w oczach Nancy Sylvia nie byłaby tak uległą uczennicą jak ja.

Wiem, to niesprawiedliwe porównanie. Ludzie za bardzo się zmienili. Ubiegły wiek pozostawił nam siniaki i rany. Dziś nawet młodzi i bogaci noszą swój cynizm jak jakąś odznakę, mają pusty wzrok, a ich umysły wypełniają sprawy, o których wcale nie chcieli wiedzieć.

To jedna z przyczyn, dla których nigdy nie mówiłam o siostrach Hartford i Robbiem Hunterze oraz o tym, co między nimi zaszło. Bo były czasy, kiedy chciałam o wszystkim powiedzieć, zrzucić z siebie ten ciężar. Chciałam powiedzieć Ruth. Albo raczej Marcusowi. Lecz w jakiś sposób jeszcze przed rozpoczęciem tej opowieści wiedziałam, że nie rozumiem. Nie pojmam, jak doszło do

tego, że wszystko skończyło się właśnie w ten sposób. Nie pojmą, dlaczego tak się stało. Nie będę w stanie wytłumaczyć im, jak bardzo zmienił się świat.

Oczywiście już wtedy widać było oznaki pewnych zmian. Pierwsza wojna światowa – Wielka Wojna – wszystko zmieniła, zarówno na społecznych wyżynach, jak i na nizinach. Jakże byliśmy wstrząśnięci, kiedy po wojnie zaczęli napływać nowi pracownicy – zazwyczaj z agencji pośrednictwa (i zazwyczaj nie zagrzewali miejsca) – pełni takich pomysłów, jak płace minimalne i urlopy. Wcześniej świat wydawał się pewnym absolutem, podziały były proste i oczywiste.

Podczas mojego pierwszego poranka w Riverton pan Hamilton wezwał mnie do swojego pokoju kredensowego, mieszczącego się w głębi części dla służby, gdzie pochylony prasował egzemplarze „The Times”. Wyprostował się i poprawił na długim haczykowatym nosie okulary w delikatnej okrągłej oprawie. Zapoznanie mnie ze „zwyczajami” było tak ważne, że pani Townsend wyjątkowo przerwała przygotowanie galantyny na uroczysty lunch, aby uczestniczyć w tym wydarzeniu. Następnie pan Hamilton uważnie przyjrzał się mojemu strojowi i najwyraźniej zadowolony rozpoczął wykład na temat różnic pomiędzy nami a nimi.

– Nigdy nie zapominaj – powiedział z wielką powagą – że masz doprawdy wielkie szczęście, mogąc służyć w tak wspaniałym domu jak ten. A łaskawy los idzie w parze z odpowiedzialnością. Każde twoje zachowanie świadczy bezpośrednio o rodzinie i musi mieć ją na względzie: dotrzyj jej tajemnic i zasłuż sobie na jej zaufanie. Pamiętaj, że jaśnie pan zawsze wie najlepiej. Bierz przykład z niego i jego rodziny. Służ jej w milczeniu... gorliwie... z wdzięcznością. Twoja praca będzie wykonana dobrze, jeśli pozostanie niezauważona, sprawdzisz się w niej, jeśli będziesz niezauważalna. – Po tych słowach skierował wzrok ku górze i wpatrzył się w przestrzeń ponad moją głowę, a jego rumiana skóra dodatkowo oblała się rumieńcem. – I jeszcze jedno, Grace. Nigdy nie zapominaj o zaszczycie, jakiego dostąpiłaś, mogąc służyć w ich domu.

Wyobrażam sobie, co powiedziałyby na to Sylvia. Z pewnością

nie przyjęłaby tego przemówienia tak jak ja, nie czułaby, jak twarz kurczy się jej z wdzięczności, i nie doświadczyłaby niejasnego, trudnego do nazwania wrażenia, że oto wkroczyła do lepszego świata.

Obracam się i zauważam, że zapomniała zabrać zdjęcie: podobiznę tego nowego mężczyzny, który zaleca się do niej, opowiadając o historii, i żywi hobbystyczną sympatię do arystokracji. Znam ten typ. Tacy jak on przechowują w domu albumy z wycinkami z prasy i zdjęciami, aby kreślić skomplikowane drzewa genealogiczne rodzin, do których nie mają wstępu.

Sprawiam wrażenie, jakbym nim gardziła, lecz wcale tak nie jest. Ciekawi mnie – wręcz intryguje – sposób, w jaki czas wymazuje prawdziwe życie, pozostawiając jedynie niejasne odciski. Krew i duch blakną, a pozostają jedynie nazwiska i daty.

Znowu zamykam oczy. Słońce powędrowało w górę i ogrzało mi policzki.

Ludzie z Riverton już dawno nie żyją. Podczas gdy mnie upływ czasu odebrał siły, oni pozostają wiecznie młodzi, wiecznie piękni.

No i proszę. Robię się ckliwa i romantyczna. Przecież oni wcale nie są młodzi ani piękni. Są martwi. Pogrzebani. Są niczym. To jedynie fragmenty, które przemykają pomiędzy wspomnieniami ludzi, których kiedyś znali.

Jednak ci, którzy żyją we wspomnieniach, tak naprawdę nigdy nie umierają.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).